

JOSEPH CONRAD

---

# Młodość

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

JOSEPH CONRAD

MŁODOŚĆ I INNE OPOWIADANIA

# *Młodość*

TLUM. ANIELA ZAGÓRSKA

Mogło się to wydarzyć tylko w Anglii, gdzie ludzie i morze niejako przenikają się wzajemnie: morze wchodzi w życie większości ludzi, a ludzie wiedzą o morzu coś niecoś lub też wszystko, czy to jako o rozrywce, czy terenie podróży, czy wreszcie warsztacie pracy.

Siedzieliśmy wokoło mahoniowego stołu, wsparci na łokciach; gładki blat odbijał butelkę, kieliszki z czerwonym winem i nasze twarze. Był tam dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik, Marlow i ja. Dyrektor przeszedł ongi szkołę na „Conway’u”, buchalter służył przez cztery lata na morzu, prawnik — wspa-

niały okaz omszałego torysa, anglikanin, najmilszy towarzysz, wcielenie honoru — pełnił służbę pierwszego oficera na linii śródziemnomorsko-wschodniej w dobrych, dawnych czasach, gdy pocztowe statki miały żagle na rejach przynajmniej u dwóch masztów i wjeżdżały na Morze Chińskie pod sprzyjającym monsunem z dodatkowymi bocznymi żaglami rozpiętymi w dole i w górze. Każdy z nas rozpoczął życie w marynarce handlowej. Jednoczyła nas wszystkich pięciu silna więź morza oraz koleżeństwo w rzemiośle, którego nie może zastąpić choćby i największe zamiłowanie do jachtingu, żeglowania i tym podobnych sportów, ponieważ są to tylko przyjemności życia, gdy tamto jest samym życiem.

Marlow (mam wrażenie, że tak się pisze jego nazwisko) opowiedział nam historię, a raczej kronikę pewnej podróży:

— Tak, widziałem coś niecoś ze wschodnich mórz; ale najlepiej pamiętam pierwszą podróż w tamte strony. Wy wiecie, koledzy, że zdarzają się podróże, które są jakby umyślnie

zamówione dla zobrazowania życia — które mogą służyć za symbol istnienia. Człowiek walczy, pracuje, oblewa się potem, zamęcza się prawie na śmierć, czasem istotnie daje życie, ażeby czegoś dokonać — i ani rusz mu nie idzie. Nie z jego winy, po prostu nie może nic zrobić, ani wielkiego, ani małego, nic a nic, nie może się nawet ożenić ze starą panną lub dobić z nędznym sześćsettonowym ładunkiem węgla do wyznaczonego portu.

Ta historia zasługiwała na to, aby ją zapamiętać. Była to pierwsza moja podróż na wschód, i to pierwsza, w której uczestniczyłem jako drugi oficer; było to także pierwsze dowództwo mojego szypra<sup>1</sup>. Przyznacie mi, że czas już nagiął. Przynajmniej sześćdziesiąt lat miał ten mały, przygarbiony człowieczek o szerokich, niezupełnie prostych plecach i jednej nodze bardziej kabłąkowatej niż druga, o dziwacznej, koślawej postaci, jaką widuje się często u ludzi pracujących w polu. Nos jego usiłował zetknąć

---

<sup>1</sup>*szyper* — pot. kapitan, dowódca niewielkiego statku handlowego; szyper w razie potrzeby włącza się w wykonywanie niezbędnych prac wraz z resztą załogi. [przypis edytorski]



się z brodą nad zapadniętymi ustami, a twarz przypominała dziadka od orzechów; okalał ją siwy jak stal, puszysty zarost, podobny do podpinki od hełmu zrobionej z waty i posypanej sadzami. A w tej starej twarzy tkwiły błękitne oczy, dziwnie podobne do oczu chłopięcych, o niewinnym wyrazie, który czasem zupełnie przeciętni ludzie zachowują do końca życia dzięki rzadkiemu darowi prostoty serca i prawości ducha. Zachodziłem w głowę, co go skłoniło do przyjęcia mnie na statek. Rozstałem się właśnie z szykownym kliprem<sup>2</sup> australijskim, gdzie byłem trzecim oficerem, a mój nowy szyperski zdawał się mieć uprzedzenie do szykownych kliprów jako arystokratycznych i zadzierających nosa. Powiedział mi: „Proszę pana, na tym statku będzie pan musiał pracować”.

Odrzekłem, że musiałem pracować na wszystkich statkach, gdzie tylko służyłem.

---

<sup>2</sup>*kliper* (z ang. gw. *clip*: szybkość) — rodzaj szybkiego, smukłego żaglowca popularnego w 2. poł. XIX w., posiadającego wyjątkowo wysokie, 3 lub 4 maszty, osiągającego rekordowe prędkości, do 21 węzłów (tj. ok. 40 km/h). [przypis edytorski]

— O, to jest zupełnie co innego — wy, paniczykowie z tych wielkich okrętów... ale co tam! Sądzę, że pan się tu nada. Proszę stawić się jutro.

Stawiłem się nazajutrz. Działo się to przed dwudziestu dwu laty; i miałem okrągłe lat dwadzieścia. Jak ten czas leci! Był to jeden z najszczęśliwszych dni w moim życiu. Pomyślcie tylko! Zostałem po raz pierwszy drugim oficerem — oficerem prawdziwie odpowiedzialnym! Nie byłbym oddał swego nowego stanowiska za żadne skarby świata. Pierwszy oficer obejrzał mię starannie. Był to także jego mość stary, ale innego pokroju. Miał rzymski nos, śnieżnobiałą, długą brodę, a nazwisko jego brzmiało Mahon, lecz kładł nacisk na to, aby wymawiać je „Mann”. Był z dobrej rodziny, tylko szczęście mu jakoś nie dopisało i kariery nie zrobił.

Co się tyczy kapitana, żeglował całe lata na statkach nadbrzeżnych, potem po Morzu Śródziemnym, a wreszcie dostał się do zachod-

nioindyjskiego handlu. Nie objechał nigdy przyładków. Charakter pisma miał niepewny, koślawy i bynajmniej pisać nie lubił. Obaj byli oczywiście żeglarzami co się zowie, a ja czułem się między tymi starymi ludźmi jak mały chłopczyk między dwoma dziadkami.

Okręt był także stary. Nazywał się „Judea”. Dziwaczna nazwa, prawda? Właściciel jego, nazwiskiem Wilmer, Wilcox czy coś w tym rodzaju, zbankrutował i umarł przed jakimiś dwudziestu laty, mniejsza o to, jak się nazywał. „Judea” stała w basenie w Shadwell przez całe wieki. Możecie sobie wyobrazić, w jakim była stanie. Cała w kurzu, rdzy, plugastwie — u góry sadza, brud na pokładzie. Wydało mi się, że opuszczam pałac dla zrujnowanej chatki. Miała około czterystu ton pojemności, prymitywną windę kotwiczną, drewniane klamki u drzwi i wielką kwadratową rufę; nigdzie nie było na niej ani źdźbła mosiądzu. U rufy widniała nazwa okrętu wypisana wielkimi literami, a pod

nią wycinane laubzegą<sup>3</sup> ozdoby z drzewa o star-  
tej pozłocie, z czymś w rodzaju tarczy herbowej  
i wypisanym poniżej mottem: „Czyń lub giń”.  
Pamiętam, że podziałało mi to niezmiernie na  
wyobraźnię. Był w tym jakiś powiew romanty-  
zmu, coś, co sprawiło, że pokochałem ten stary  
grat — coś, co przemówiło do mojej młodości!

Opuściliśmy Londyn z obciążeniem w po-  
staci piasku, udając się do jednego z północ-  
nych portów po węgiel dla Bangkoku. Bang-  
kok! Zadrzałem z radości. Spędziłem na morzu  
już sześć lat, lecz widziałem tylko Melbourne  
i Sydney — bardzo porządne miasta, zachwy-  
cające miasta w swoim rodzaju — ale Bang-  
kok!

Wyszliśmy z Tamizy pod żaglami, mając na  
pokładzie pilota z Morza Północnego. Nazywał  
się Jermyn i plątał się cały dzień po kambu-  
zie<sup>4</sup> susząc przy piecu swoją chustkę do nosa.

---

<sup>3</sup>*laubzega* (niem. *Laubsäge*; od *Laub*: liść i *Säge*: piła) — cienka piła służą-  
ca do wyrzynania otworów (również ozdobnych wykrojów) w drewnie. [przypis  
edytorski]

<sup>4</sup>*kambuz* — pomieszczenie lub jego wydzielona część przeznaczona do przy-  
gotowywania posiłków na statku; kuchnia okrętowa. [przypis edytorski]



Widocznie nigdy nie sypiał. Ten ponury człowiek, z wieczną kapką świecą u nosa, albo uporał się dopiero co z jakimś kłopotem, albo był w kłopotcie, albo spodziewał się, że wpadnie w kłopot — i czuł się dobrze jedynie wtedy, gdy coś szło nie tak, jak trzeba. Nie dowierzał mojej młodości, mojemu rozsądkowi, mojej żeglarskiej wiedzy, i postawił sobie za zadanie, aby mi to okazywać w najprzeróżniejszy sposób. Zdaje mi się, że miał słuszość. Sądzę, że umiałem wówczas bardzo mało, a i teraz umiem niewiele więcej; ale żywię nienawiść względem Jermyna aż do dnia dzisiejszego.

Po tygodniowej żegludze dotarliśmy do Yarmouth Roads, a potem dostaliśmy się w burzę — słynną październikową burzę sprzed dwudziestu dwóch lat. Wicher, błyskawice, deszcz ze śniegiem, śnieżycą i straszliwe morze. Leciliśmy niby na skrzydłach; zrozumiecie, jak źle było z nami, kiedy wam powiem, że mieliśmy strzaskane nadburcie i zalany pokład. W ciągu drugiej nocy balast przesunął się na stronę podwietrzną, a jednocześnie zapędziło nas

gdzieś w okolicy Dogger Bank. Nie było innej rady, tylko zejść na dół z szuflami i starać się doprowadzić statek do porządku — i oto staliśmy w tej przestronnej ładowni, ponurej jak jaskinia; łojowe świece migotały przytwierdzone do belek, bursa wyła w górze, okręt rzucał się na bok jak szalony; byliśmy tam wszyscy co do jednego, Jermyn, kapitan, pochłonięci tą pracą grabarzy, i ledwie się mogliśmy utrzymać na nogach, usiłując rzucać szufle mokrego piasku ku stronie nawietrznej. Przy każdym zatoczeniu się statku widać było niewyraźnie w mętnym świetle, jak ludzie się przewracają zakreślając wielkie łuki szuflami. Jeden z naszych chłopców okrętowych (było ich dwóch) płakał rozdzierająco pod wrażeniem tej niesamowitej sceny. Słyszeliśmy, jak szlochał gdzieś w ciemnościach.

Trzeciego dnia burza ucichła i zabrał nas wkrótce jakiś północny holownik. Tylko szesnaście dni zużyliśmy na przejazd z Londynu do Tyne! Kiedyśmy weszli do doku, okazało się, że straciliśmy naszą kolejkę do ładowania i wy-

cofano nas do dalszego rzędu, gdzie pozostaliśmy przez miesiąc. Pani Beard (kapitan nazywał się Beard) przyjechała z Colchester, aby się zobaczyć ze starym. Mieszkała na statku. Załoga opuściła okręt; pozostali tylko oficerowie, jeden z chłopców okrętowych i steward, Mulat, którego wołano Abraham. Pani Beard była też stara, miała twarz pomarszczoną i rumianą jak zimowe jabłko, a figurę młodej panny. Zobaczyła raz, że przyszywam sobie guzik, i wymogła na mnie, abym jej dał koszule do naprawy. To było coś zupełnie różnego od zachowania żon kapitanów, które poznałem na szykownych kliprach. Gdy jej przyniosłem koszule, zapytała:

— A skarpetki? Jestem pewna, że potrzebują naprawy; rzeczy Jana — to jest kapitana Bearda — są już doprowadzone do porządku. Miło mi będzie mieć coś do roboty.

Kochana staruszka. Przepatrzyła wszystkie moje rzeczy, a ja tymczasem czytałem po raz pierwszy *Sartora Resartusa* i Burnaby'ego *Wyprawę na Chiwę*. Niewiele wówczas zrozumia-

łem z pierwszej książki; pamiętam jednak, że przekładałem żołnierza nad filozofa, a życie mię jeszcze w tym utwierdziło. Jeden był człowiekiem, drugi zaś może czymś więcej, a może i mniej? Tak czy owak, obydwaj już nie żyją i pani Beard nie żyje, a młodość, siła, geniusz, myśli, czyny, proste serca — wszystko umiera... Mniejsza o to.

Przyjeliśmy wreszcie ładunek. Zaciągnęliśmy załogę. Ośmiu wykwalifikowanych marynarzy i dwóch chłopców. Odholowano nas pewnego wieczoru do boi u wrót doku; byliśmy gotowi do odjazdu i spodziewaliśmy się do prawdy, że nazajutrz puścimy się w drogę. Pani Beard zamierzała wrócić do domu pociągiem odchodzącym późno w noc. Gdy statek został zacumowany, udaliśmy się na herbatę. Siedzieliśmy dość milcząco u stołu — Mahon, starzy małżonkowie i ja. Wypiłem herbatę pierwszy i wymknąłem się na papierosa do swojej kajuty w nadbudówce na pokładzie, tuż przy rufie. Był przyptyw, chłodny wiatr zacinał kapuśniaczkiem, podwójne wrota doku stały otwo-

rem, a parowce węglowe wjeżdżały i wyjeżdżały w ciemności z palącymi się jasno światłami, wśród głośnego chlupotu śrub, zgrzytu bloków i nawoływań rozlegających się u cyplów mola. Przypatrywałem się procesji świateł dziobowych sunących wysoko i zielonych świateł sunących nisko w mroku, gdy nagle czerwony błysk zajrzał mi w oczy, znikł, ukazał się znów i pozostał. Dziób parowca zamajaczył blisko. Krzyknąłem w dół do kabiny:

— Chodźcie tu prędko! — i usłyszałem przestraszony głos daleko w ciemnościach:

— Zatrzymać maszyny, panie kapitanie!

Zabrzmiał dzwon. Inny głos krzyknął ostrzegawczo:

— Wjeżdżamy wprost na tę barcę, panie kapitanie!

Odpowiedzią na to było szorstkie: „Aha”, i zaraz potem rozległ się potężny trzask — parowiec ugodził na ukos zaokrąglonym dziobem w takielunek przedniego masztu. Nastąpiła chwila zamieszania, wrzasków i bieganiny. Para huczała. Usłyszałem czyjeś słowa:

— Już dobrze, panie kapitanie.

— Czy u was wszystko w porządku? — zapytał szorstki głos.

Skoczyłem na dół, aby obejrzeć szkodę, i odkrzyknąłem:

— Zdaje się, że tak.

— Powoli w tył — rzekł szorstki głos. Rozległ się dzwon.

— Co to za parowiec? — krzyknął Mahon. W owej chwili statek był dla nas już tylko masywnym cieniem manewrującym opodal. Odkrzyknęli nam jakąś nazwę — „Miranda” czy „Melissa”, czy coś w tym rodzaju.

— Z tego wszystkiego posiedzimy jeszcze miesiąc w tej przeklętej dziurze — rzekł do mnie Mahon, gdyśmy oglądali przy świetle latarni strzaskane nadburcie i poszarpane brasy<sup>5</sup>.

— Ale gdzie kapitan?

Nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy go wcale przez cały ten czas. Poszliśmy go szukać na ru-

---

<sup>5</sup>brasy — liny służące do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej w celu ustawiania ożaglowania rejoyego w najkorzystniejszej pozycji względem wiatru. [przypis edytorski]



fę. Żałosny głos zaczął nas okrzykiwać skądś ze środka doku:

— Hej! na „Judei”!...

Jak on się u diabła tam dostał?...

— Hej, hej! — odkrzyknęliśmy.

— Zniosło mnie w naszej łódce, jestem bez wioseł! — krzyknął. Jakiś zapóźniony cumownik ofiarował się z pomocą. Mahon dobił z nim targu: za pół korony miał być nasz szyperski przyholowany do statku; tymczasem nie kapitan, ale pani Beard ukazała się pierwsza u trapu. Pływali oboje po doku w tym mżącym kapuśniaczką przez blisko godzinę. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. Okazało się, że gdy kapitan usłyszał mój krzyk: „Chodźcie tu!”, zrozumiał w lot, co się dzieje, porwał żonę, wypadł na pokład, przebiegł go i dostał się do łodzi, która była przymocowana u trapu. To nieźle jak na sześćdziesięcioletniego człowieka. Wyobraźcie sobie staruszkę unoszącą go bohaterku w ramionach tę starą kobietę — kobietę swego życia. Usadowił ją w łodzi na ławce

i już miał się wdrapać z powrotem na pokład, gdy lina się jakoś odczepiła i zaczęli oboje odpływać. W tym zamieszaniu nie słyszeliśmy naturalnie jego nawoływań. Wyglądał na zawstydzonego. Pani Beard rzekła wesoło:

— Przypuszczam, że teraz już wszystko jedno, czy się spóźnię na pociąg.

— Tak, Jenny, idź na dół i rozgrzej się — mruknął. Potem zwrócił się do nas:

— Żona to żaden interes dla marynarza. Byłem tam, poza okrętem. No, tym razem nic się złego nie stało. Chodźmy i popatrzmy, co nam ten głupi parowiec potrzaskał.

Szkody były niewielkie, ale opóźniło nas to o trzy tygodnie. Na koniec, ponieważ kapitan był zajęty ze swymi agentami, zaniósłem podróżną torbę pani Beard na stację i umieściłem staruszkę wygodnie w przedziale trzeciej klasy. Spuściwszy okno, rzekła do mnie:

— Pan jest zacnym młodzieńcem. Jeśli pan kiedy zobaczy, że Jan — to jest kapitan Beard — wychodzi w nocy bez szalika na pokład,

niechże mu pan w moim imieniu przypomni, żeby dobrze ochraniał szyję.

— Dobrze, proszę pani — odpowiedziałem.

— Pan jest zacnym młodzieńcem, zauważyłam, jak pan się opiekuje Janem, to jest kapitanem...

Pociąg nagle ruszył; zdjąłem czapkę; nie zobaczyłem staruszki już nigdy... Dajcie butelkę.

Wyszliśmy z portu nazajutrz. W chwili naszego wyjazdu mijały już trzy miesiące od czasu, gdy opuściliśmy Londyn. A spodziewaliśmy się, że to będzie trwało najwyżej dwa tygodnie.

Był styczeń i cudowna pogoda — taka piękna, słoneczna, zimowa pogoda, która ma więcej uroku niż letnia, ponieważ jest niespodziana i rześka, i wiemy, że nie będzie, że nie może trwać długo. Jest jak pomyślny traf, jak dar zesłany z nieba, jak nieoczekiwane szczęście.

Było pogodnie przez cały czas, gdyśmy płynęli przez Morze Północne, potem przez Kanał

Angielski, i trwało to, dopóki nie odsadzili-  
śmy się ze trzysta mil na zachód od przylądka  
Lizards; wtedy wiatr obrócił się na południo-  
wy zachód i zaczął gwizdać. We dwa dni nawiał  
nam burzę. „Judea” dryfowała, tarzając się po  
Atlantyku jak stare pudło od świec. Wiatr dął  
dzień po dniu; dął ze złością, bez przerwy, bez  
miłosierdzia, bez odpoczynku. Świat był ogro-  
mem spienionych fal, rzucających się na nas  
pod niebem tak niskim, że prawie można było  
dotknąć go ręką, a brudnym jak zadymiony su-  
fit. W burzliwej przestrzeni, która nas otacza-  
ła, unosiło się tyleż lotnych bryzgów co i po-  
wietrza. Dzień w dzień i noc po nocy nie było  
wokół okrętu nic poza wyciem wichru, zgieł-  
kiem morza, łoskotem wody przelewającej się  
przez pokład. Żadnego wytchnienia dla statku  
i żadnego wytchnienia dla nas. Ciskał się, mio-  
tał, stawał na głowie, siadał na ogonie, przewa-  
lał się i stękał, a my musieliśmy przetrwać to  
wszystko na pokładzie albo też w dole trzymać

się koi w nieustannym wysiłku ciała i udręce duszy.

Pewnej nocy Mahon odezwał się do mnie przez okienko kajuty. Otworzyło się tuż nad łóżkiem, na którym leżałem w butach, czuwając; miałem wrażenie, iż nie zmrużyłem oka już od lat i że nie podobna byłoby mi zasnąć. Rzekł w podnieceniu:

— Marlow, nie ma tu pan pręta do mierzenia wody? Pompy ani rusz nie chcą ssać. Wielki Boże, to nie są żarty!

Dałem mu pręt i położyłem się znowu, usiłując myśleć o przeróżnych rzeczach, ale myślałem tylko o pompach. Kiedy wyszedłem na pokład, ciągle jeszcze pracowano u pomp i moja wachta zastąpiła poprzednią. W świetle latarni, którą przyniesiono na pokład, aby obejrzeć pręt, mignęły mi zmęczone, poważne twarze majtków. Pompowaliśmy przez całe te cztery godziny. Pompowaliśmy całą noc, cały dzień, cały tydzień, wachta po wachcie. Okręt się rozlatywał i przeciekał szpetnie — nie dosyć, aby nas od razu zatopić, ale dość, by nas zabić pra-

cą przy pompach. A w ciągu naszego pompowania statek opuszczał nas po kawałku; poszło nadburcie, stojaki poręczy zostały wyrwane, wietrzniki zdruzgotane, drzwi od kabiny wgniecione. Nie było nigdzie suchego miejsca. Odbywało się z wolna patroszenie okrętu. Szalupa — jakby pod wpływem czarów — rozpadła się w drzazgi, stojąc w miejscu na legarach<sup>6</sup>. Sam ją przymocowałem i pyszniłem się poniekąd swym dziełem, które opierało się tak długo złościwości morza. Pompowaliśmy w dalszym ciągu. Niepogoda nie ustawała ani na chwilę. Morze było białe jak olbrzymi płat piany, jak kocioł gotującego się mleka; nie dostrzeżęło się żadnej luki w chmurach, choćby na szerokość dłoni, choćby na przeciąg dziesięciu sekund. Nie istniało dla nas niebo, nie istniały dla nas gwiazdy ani słońce, ani wszechświat — nic poza gniewnymi chmurami i rozwścieczonym morzem. Pompowaliśmy wachta za wachtą, pompowaliśmy, walcząc o życie;

---

<sup>6</sup>*legar* — podkład pod ciężkie przedmioty, zazwyczaj wykonany z belek drewnianych; tu: umocowana do pokładu podstawa, na której umieszcza się szalupę okrętową. [przypis edytorski]



i zdawało się, że to trwa już miesiące, lata, całą wieczność, jakbyśmy umarli i znaleźli się w piekle dla żeglarzy. Zapomnieliśmy, jaki to dzień w tygodniu, miesiąc, rok — zapomnieliśmy, że byliśmy kiedykolwiek na lądzie. Żagle zostały zerwane, statek leżał na boku pod płócienną zasłoną od wiatru, ocean przelewał się przez niego, a nam to było obojętne. Kręciliśmy tymi korbami i mieliśmy oczy idiotów. Kiedy wyczołgivaliśmy się na pokład, opasywałem liną ludzi, pompy i maszt główny, po czym kręciliśmy, kręciliśmy bez ustanku, a woda sięgała nam po pas, po szyję, wyżej głowy. Nic to nie pomagało. Zapomnieliśmy, jakie to uczucie, kiedy się jest suchym.

A we mnie tkwiła gdzieś myśl: „No, no! To ci dopiero morowa awantura — jak w jakiej książce — a ja jadę po raz pierwszy jako drugi oficer i mam dopiero dwadzieścia lat i oto wytrzymuję wszystko równie dobrze jak każdy z tych ludzi, i podnoszę moich chłopców na duchu.” Cieszyłem się. Nie byłbym się wyrzekł swych przeżyć za nic w świecie. Miałem chwi-

le radosnego uniesienia. Gdy stary, ogołocoony statek przechylał się ociężale, wznosząc konchę rufy wysoko w powietrze, zdawało mi się, że rzuca ku bezlitosnym chmurom, jak apel, jak wyzwanie, jak okrzyk słowa wypisane na rufie: „«Judea». Londyn. «Czyń lub giń»”.

O młodości! O młoda siło, o młoda wiaro, o młoda wyobraźni! „Judea” to nie był dla mnie stary gruchot wiozący przez świat za opłatą ładunek węgla, był to dla mnie wysiłek, próba, probierz życia. Myślę o niej z upodobaniem, z miłością, z żalem — jak się myśli o kimś zmarłym, kogo się kochało. Nie zapomnę jej nigdy... Dajcie butelkę.

Pewnej nocy, gdy przywiązani do masztu — jak już mówiłem — pompowaliśmy ogłuszeni przez wiatr i tak upadli na duchu, że nawet nie pragnęliśmy śmierci, potężny bałwan gruchnął o pokład i przejechał się po nas. Złapawszy oddech krzyknąłem natychmiast, jak nakazuje służba:

— Trzymajcie się, chłopcy! — i nagle poczułem, że jakiś twardy przedmiot pływający

po pokładzie uderzył mnie w łydkę. Chciałem go pochwycić, ale nie natrafiłem na niego. Było tak ciemno, uważacie, że na odległość stopy nie mogliśmy dojrzeć swych twarzy.

Po tym ciosie statek trwał chwilę w spokoju i ów przedmiot znów mnie uderzył w nogę. Tym razem złapałem go, a był to rondel. Z początku, ogłupiały ze zmęczenia, myśląc tylko o pompach, nie zrozumiałem, co mam w ręku. Nagle rozświeciło mi się w głowie i krzyknąłem:

— Chłopcy, zniosło domek z pokładu. Rzućcie to, poszukamy kucharza.

Na baku<sup>7</sup> była nadbudówka, w której znajdował się kambuz, koja kucharza i kwatery załogi. Ponieważ spodziewaliśmy się już od dawna, że nadbudówka zostanie zniesiona, kazano majtkom spać w kabinie — jedynym bezpiecznym miejscu na okręcie. Tymczasem steward Abraham trzymał się z oślim uporem swej koi, przypuszczam, że po prostu ze strachu, jak zwie-

---

<sup>7</sup>*bak* — skrajna część pokładu dziobowego, położona najbliżej dziobu statku.  
[przypis edytorski]

rzę, które nie chce opuścić stajni walącej się podczas trzęsienia ziemi. Poszliśmy więc go szukać. Naraziliśmy się na śmierć, ponieważ — pozbywszy się więzów — byliśmy bez żadnej ochrony, jak na tratwie. Ale poszliśmy. Nadbudówkę rozwalilo, jakby granat w środku wybuchnął. Większa jej część poszła za burtę — piec, kwatery majtków, ich rzeczy — wszystko poszło; ale dwa słupy podtrzymujące część grodzi, do której była przytwierdzona koja Abrahama, ocalały jakby cudem. Natrafiliśmy na nie, szukając po omacku między zwaliskami i oto kucharz tam tkwił; siedział na swojej koi wśród piany i szczątków, papląc do siebie wesoło. Utracił rozum; zwariował raz na zawsze wskutek tego nagłego wstrząsu, który zmiotł resztę jego wytrzymałości. Chwyciliśmy go, zawlekliśmy na rufę i rzuciliśmy głową na dół w kajutową schodnię. Rozumiecie, że nie było czasu znosić go na dół z wszelkimi ostrożnościami i czekać, póki się nie przekonamy, jak mu tam jest. Wiedzieliśmy, że ci w dole podniosą go z dna schodów — i koniec. Pilno nam było wrócić

jak najprędzej do pomp. One czekać nie mogły. Taki szpetny przeciek to nieludzka bestia.

Można by pomyśleć, że jedynym celem piekielnej burzy było pomieszanie w głowie nieborakowi Mulatowi. Nad ranem wiatr ustał, nazajutrz zaś niebo było pogodne, a gdy się morze uspokoiło, woda zaczęła znów przeciekać. Gdy doszło ponownie do częściowego zwinienia żagli, załoga zażądała powrotu — i rzeczywiście nic nam innego nie pozostawało. Łodzie przepadły, pokład był wymieciony na czysto, kajuta wypatroszona, ludziom zostało tylko to, co mieli na sobie — poza tym nic — zapasy były zepsute, okręt przemęczony. Obróciliśmy go dziobem ku Anglii i — czy dacie wiarę? Pojawił się wiatr od wschodu, prosto nam w oczy. Dął, zimny, dął bez ustanku. Musieliśmy wywalczać sobie każdy cal drogi, lecz statek nie ciekł tak bardzo, gdyż morze było stosunkowo gładkie. Pompować dwie godziny na cztery to nie zabawka — ale trzymało nas to na powierzchni aż do Falmouth.

Poczciwi ludzie tamtejsi żyli ze szkód wyrządzonych przez morze i widok nasz ucieszył ich z pewnością. Zgłodniała rzesza cieśli okrętowych wzięła się do ostrzenia dłut, spostrzegłszy ten szkielet okrętu. I, dalibóg, musieli się porządnie obłowić, zanim z nami skończyli. Zdaje mi się, że właściciel statku był już wówczas w opałach. Zwlekano z decyzją. Wreszcie postanowiono, że ładunek zostanie częściowo wyjęty, a burty uszczelnione powyżej linii wodnej. Załatwiwszy się z tym, dokończono naprawy i załadowano węgiel z powrotem; nowa załoga zjawiała się na pokładzie, po czym wyruszyliśmy do Bangkoku. Po upływie tygodnia byliśmy znów z powrotem. Załoga oświadczyła, że nie pojedzie do Bangkoku — sto pięćdziesiąt dni podróży — na gruchocie, który wymaga, aby pompować osiem godzin na dwadzieścia cztery; a do rejestrów okrętowych wciągnięto znów krótką notatkę: „«Judea». Barka. Z Tyne do Bangkoku; węgiel; powróciła do Falmouth z przeciekami i załogą odmawiającą posłuszeństwa”.



Potem nastąpiła znów zwłoka — łatanano w dalszym ciągu. Właściciel przyjechał na jeden dzień i orzekł, że statek jest bez zarzutu. Biedny stary kapitan Beard wyglądał jak duch szypra Geordie'go wskutek tych wszystkich trosk i upokorzeń. Nie zapominajcie, że miał już sześćdziesiątkę i że to było pierwsze jego dowództwo. Mahon powiedział:

— To głupi interes, który się źle skończy.

Kochałem statek więcej niż kiedykolwiek i strasznie mi się chciało dostać do Bangkoku. Bangkok! Czarodziejska nazwa, błogosławiona nazwa. Gdzie tam do niej Mezopotamii. Pamiętajcie, że miałem dwadzieścia lat, że jechałem pierwszy raz jako drugi oficer, że Wschód czekał na mnie.

Wyszliśmy i stanęliśmy na kotwicy po zewnętrznej stronie portu ze świeżą załogą — trzecią z rzędu. Statek przeciekał gorzej niż kiedykolwiek. Zdawało się, że ci przekłęci cieśle doprawdy zrobili w nim dziurę. Tym razem nie opuściliśmy nawet portu. Załoga odmówiła po prostu pracy przy windzie kotwicznej.

Odholowano nas z powrotem do wewnętrznego portu i staliśmy się miejscową przynależnością, cechą, instytucją. Ludzie pokazywali nas przyjezdny:

— O, to ta barka, co ma jechać do Bangkoku, jest tu już od pół roku, trzy razy wracała z drogi.

W dni świąteczne mali chłopcy kręcący się w łódkach okrzykiwali nas:

— Hej hej, na „Judei”! — a gdy czyjaś głowa pojawiała się nad burtą, wołali: — Dokąd jedziecie? do Bangkoku? — i drwili z nas.

Byliśmy tylko we trzech na statku. Biedny stary kapitan gryzł się w kajucie. Mahon zajął się kuchnią i nadspodziewanie rozwinął talent iście francuski w przyrządzaniu doskonałych skromnych potraw. A ja zajmowałem się od niechcienia takielunkiem. Staliśmy się obywatelami Falmouth. Znał nas każdy sklepikarz. U golarza czy w składzie tytoniu zapytywano poufnie:

— Czy pan myśli, że dojedziecie do Bangkoku?

Tymczasem właściciel, akcjonariusze i dzierżawcy statku swarzyli się między sobą w Londynie, a pensje nam wciąż wypłacano... Dajcie butelkę.

To było okropne. Moralnie czuliśmy się gorzej niż wówczas, gdy pompowaliśmy, aby ujść z życiem. Zdawało się, że świat o nas zapomniał, że nie należymy do nikogo, że nie pojedziemy już nigdzie; zdawało się, że — niby zaczarowani — będziemy musieli żyć na wieki wieków w tym wewnętrznym porcie, jako pośmiewisko, jako legenda dla całych pokoleń łazęgow z wybrzeża i nieuczciwych przewoźników. Dostałem pensję za trzy miesiące, urlop pięciodniowy — i machnąłem się do Londynu. Podróż w jedną stronę zajęła mi dzień, powrót — drugi, ale tak czy siak, trzymiesięczna pensja poszła. Nie wiem, co z nią zrobiłem. Byłem, zdaje się, w *music-hallu*, jadałem śniadania, obiady i kolacje w szykownej restauracji na Regent Street i wróciłem na oznaczony czas, mając do pokazania — jako owoc trzymiesięcznej pracy — komplet dzieł Byrona i nowy pled

podróżny. Przewoźnik, który wiozł mię na statek, rzekł:

— No, no! Myślałem, że pan już rzucił ten stary grat. On nigdy nie dojedzie do Bangkoku.

— Powiedział, co wiedział — odparłem pogardliwie, ale wcale mi się to proroctwo nie podobało.

Nagle zjawił się jakiś osobnik, coś w rodzaju czyjegoś agenta, wyposażony w całkowite pełnomocnictwa. Miał twarz pokrytą wyrzutami od picia grogu, nieposkromioną energię, wesoły był i dobroduszny. Zbudziliśmy się znów do życia. Podjechał do nas hulk<sup>8</sup> i zabrał ładunek, po czym przenieśliśmy się do suchego doku, gdzie mieli zdjąć miedziane poszycie z dna statku. Nie dziwota, że okręt przeciekał. Udręczony przez burzę do ostatecznych granic wytrzymałości, wypłuł nieborak — jakby ze wstrętu — wszystkie pakuły ze swoich niższych szwów. Zapchano na nowo szpary, obito kadłub miedzią — okręt stał się szczelny jak

---

<sup>8</sup>*hulk* — statek, wycofany z eksploatacji. [przypis edytorski]

butelka. Pojechaliśmy do hulka i przeładowa-  
liśmy znów towar.

Wówczas — pewnej pięknej księżycowej  
nocy — wszystkie szczury opuściły okręt.

Wydręczyły nas niemożliwie. Zniszczyły nam  
zagle, pochłonęły więcej żywności niż załoga,  
uprzejmie dzieliły z nami łóżka i niebezpieczeń-  
stwa, a teraz, gdy okręt nadawał się znów do  
podróży, postanowiły się wynieść. Zawołałem  
Mahona, aby się cieszył tym widokiem. Szczur  
za szczurem zjawiał się na naszym nadburciu,  
oglądał się po raz ostatni i skakał z głuchym ło-  
skotem w pusty kadłub hulka. Usiłowaliśmy je  
policzyć, ale wkrótce straciliśmy rachubę. Ma-  
hon rzekł:

— No, no! Nie mówcie mi o inteligencji  
szczurów. Powinny były opuścić nas przedtem,  
kiedyśmy o włos nie zatonęli. Ma pan tu do-  
wód, jaki niemądry jest przesąd co do szczu-  
rów. Porzucają dobry statek dla starego, zbu-  
twiałego pudła, gdzie w dodatku nie ma nic do  
jedzenia. Głupie zwierzęta!... Nie wierzę, aby

wiedziały, co dla nich jest dobre lub złe, lepiej od pana albo ode mnie.

I porozmawiawszy czas jakiś, zgodziliśmy się na to, że mądrość szczerów grubo jest przeceniona, gdyż w gruncie rzeczy nie przewyższa ludzkiej mądrości.

Historia statku była już wówczas znana wzdłuż Kanału, w górę od Lands' End aż do Forelands i nie mogliśmy dostać załogi na południowym wybrzeżu. Przysłano nam całą, skompletowaną, z Liverpoolu i wyruszyliśmy jeszcze raz — do Bangkoku.

Mieliśmy pomyślne wiatry i gładkie morze aż do zwrotników, a stara „Judea” sunęła ociężale w słońcu. Gdy robiła osiem węzłów, wszystko w górze trzeszczało i przywiązywaliśmy sobie czapki do głów; ale przeważnie wlokła się z szybkością trzech mil na godzinę. Czegoż innego można się było spodziewać? Stary okręt był już zmęczony. Młodość jego była tam, gdzie teraz moja, gdzie wasza, towarzysze, którzy słuchacie mojej opowieści; a czyż przyjaciel świeciłby wam w oczy waszymi lata-

mi i waszym znużeniem? Nie szemraliśmy na „Judeę”. Przynajmniej jeśli chodzi o nas, tych z rufy — zdawało się nam, żeśmy się na niej urodzili, wychowali, że żyliśmy na niej przez całe wieki, nie znając nigdy żadnego innego statku. Byłbym mógł równie dobrze zwymyślać w kraju stary wiejski kościółek za to, że nie jest katedrą.

A ja miałem jeszcze i młodość, która dodawała mi cierpliwości. Cały Wschód był przede mną i całe życie, i myśl, że na tym statku zostałem poddany próbie i wcale dobrze z niej wyszedłem. Myślałem także o ludziach, którzy przed wiekami dążyli tym samym szlakiem — na okrętach nie lepiej żeglujących — do kraju palm i korzeni, i żółtych piasków, i brunatnych ludów rządzonych przez królów okrutniejszych od rzymskiego Nerona i wspanialszych niż żydowski Salomon. Stara barka wlokła się, ociążała od wieku i brzemienia swego ładunku, ja zaś żyłem życiem młodości, nieświadom niczego i pełen nadziei. Statek sunął powoli przez nieskończoną procesję dni;

a świeża pozłota odbijała zachodzące słońce i zdawała się rzucać nad ciemniejące morze słowa wymalowane na rufie: „«Judea». Londyn. «Czyń lub giń»”.

Wjechaliśmy na Ocean Indyjski, sterując na północ ku Jawajskiemu Przylądkowi. Wiatry były słabe. Mijały tygodnie. „Judea” pełzła naprzód — „czyń lub giń” — a ludzie w kraju zaczęli nas uważać za opóźnionych.

Raz w sobotę wieczorem nie miałem służby i załoga poprosiła, abym im wydał nadetatowy kubek wody — do prania. Ponieważ nie chciałem pompować słodkiej wody tak późno, poszedłem, pogwizdując, na bak z kluczem w ręku, aby otworzyć mały przedni luk, gdyż zamierzałem wydać wodę z zapasowego zbiornika, któryśmy tam trzymali.

Zapach w dole był równie nieoczekiwany jak okropny. Można było pomyśleć, że setki lamp naftowych palą i kopcą w tej dziurze całymi dniami. Byłem rad, kiedym się stamtąd wydostał. Majtek, który był ze mną, zakaszlał i rzekł:



— Dziwny zapach, proszę pana. — Odpowiedziałem niedbale:

— To podobno dobrze robi na zdrowie — i poszedłem w stronę rufy.

Przed wszystkim wetknąłem głowę w kwadratowy otwór wentylatora na śródkręciu. Gdy podnosiłem wieko, powiew widzialny dla oka, coś jakby wątła mgła, kłęb leciutkiego oparu podniósł się nad otworem. Wznoszące się powietrze było rozgrzane, duszne, czuć je było kopciem i naftą. Pociągnąłem raz nosem i zamknąłem delikatnie pokrywę. Nie warto było się dusić. Ładunek się palił.

Nazajutrz okręt zaczął już dymić na dobre. Widzicie, należało się tego spodziewać, bo choć węgiel był w dobrym gatunku, przesypywano go tyle razy i tak go przy tym pokruszono, że wyglądał po prostu jak węgiel do kuźni. A przy tym zmókł — i to nie raz. Padało przez cały czas, gdyśmy go przeładowywali z hulka, teraz zaś rozgrzał się podczas tego długiego przejazdu — i oto zaszedł wypadek samorodnego ognia.

Kapitan wezwał nas do kajuty. Wyglądał na zgnębionego; na stole rozłożona była mapa. Rzekł:

— Wybrzeże zachodniej Australii jest blisko, ale zamierzam płynąć w dalszym ciągu do wyznaczonego nam portu. Mamy teraz w dodatku miesiąc huraganów; zachowamy jednak kierunek na Bangkok i będziemy walczyli z ogniem. Żadnego wracania już nie będzie, choćbyśmy się mieli upiec. Spróbujemy najpierw zdusić ten przeklęty pożar przez brak powietrza.

Spróbowaliśmy. Pozatykaliśmy wszystkie szpary, a jednak wciąż dymiło. Dym wydobywał się przez niedostrzegalne szczeliny, przeciskał się przez grodzie i pokrywy, wypływał i tu, i tam, i wszędzie, cienkimi nitkami, niewidzialną mgłą, w niepojęty sposób. Przedostał się do kajuty, do kasztelu<sup>9</sup>; pozatruwał osłonięte miejsca na pokładzie, czuło się go aż na głównej rei środkowego masztu. Jasne było, że jeśli dym wychodził, to powietrze wchodziło. Działo to na

---

<sup>9</sup>*kasztel* — nadbudówka na daw. żaglowcach, znajdująca się na dziobie lub rufie statku (kasztel dziobowy i rufowy), zawierająca pomieszczenia dla oficerów oraz stanowiska lekkich dział. [przypis edytorski]

nas zniechęcająco. Ten pożar nie dawał się zdu-  
sić.

Postanowiliśmy uciec się do wody i zdjęli-  
śmy z luków pokrywy. Olbrzymie masy dymu,  
białawe, żółtawe, gęste, tłuste, mgliste, duszące  
wzniosły się aż na wysokość masztów. Wszyscy  
wycofali się na rufę. Zatruta chmura odpłynęła  
i wróciliśmy do pracy wśród dymu, który już  
nie był gęściejszy od zwykłego dymu z fabrycz-  
nego komina.

Przygotowaliśmy pompę tłoczącą i wydo-  
byliśmy gumowego węża, który pękł wkrótce.  
Był równie stary jak statek — po prostu przed-  
historyczny wąż nienadający się już do napra-  
wy. Wprawiliśmy w ruch słabą pompę dzio-  
bową, czerpiąc przy tym wodę wiadrami, i tym  
sposobem zdołaliśmy wkrótce wlać do główn-  
ego luku całe masy Oceanu Indyjskiego. Jasny  
strumień błyszczał w słońcu, wpadał w cienką  
warstwę białego, czołgającego się dymu i zni-  
kał na czarnej powierzchni węgla. Podnosiła się  
para zmieszana z dymem. Leliśmy słońcą wodę  
jak w beczkę bez dna. Pompowanie było na-

szym losem na tym okręcie, wylewanie z niego wody i wlewanie jej z powrotem; usunąwszy ze statku wodę, aby ocalić się od zatonięcia, leliśmy w niego wodę jak najęci, aby się ocalić od spalenia.

A „Judea” pełzła naprzód — „czyń lub giń” — wśród pięknej pogody. Niebo było cudem czystości, lazurowym cudem. Morze było gładkie, było błękitne, było przejrzyste, było wyiskrzane jak drogocenny kamień otaczający nas ze wszystkich stron, aż do widnokręgu, jakby cały glob ziemski był jednym klejnotem, jednym olbrzymim szafirem — drogim kamieniem przetworzonym w planetę. A po blasku wielkich, spokojnych wód sunęła nieznacznie „Judea” spowita w leniwe i nieczyste opary, w ociężałą chmurę spływającą ku stronie podwietrznej — jasną i powolną; w cuchnącą chmurę, która kalala wspaniałość morza i niebios.

Przez cały czas, oczywiście, nie widzieliśmy wcale ognia. Ładunek tlił się gdzieś od spodu. Raz, gdyśmy pracowali ramię w ramię, Mahon rzekł do mnie ze szczególnym uśmiechem:

— No, gdyby tak teraz zrobiła się porządna szpara w kadłubie — jak wtedy, gdyśmy pierwszy raz wypłynęli z Kanału — to by zaszpurowała ten ogień. Prawda?

Zauważyłem bez związku:

— Pamięta pan szczury?

Walczyliśmy z ogniem, a zarazem pełniliśmy służbę na statku tak starannie, jakby wszystko było w porządku. Steward gotował i obsługiwał nas. Z pozostałych dwunastu ludzi ośmiu pracowało, podczas gdy czterej wypoczywali. Na każdego przychodziła kolej, nie wyłączając kapitana. Równość była zupełna, a jeśli nie dosłowne braterstwo, to w każdym razie wiele wzajemnej życzliwości. Czasem który z majtków, śmignąwszy wiadro wody w luk, wykrzykiwał:

— Niech żyje Bangkok! — a reszta się śmiała. Ale na ogół byliśmy milczący i poważni — i spragnieni. Ach, jacy spragnieni! A z wodą trzeba było się obchodzić ostrożnie. Wydzielano ściśle porcje. Statek dymił, słońce jaśniało... Dajcie butelkę.

Próbowaliśmy wszystkiego. Usiłowaliśmy nawet dokopać się do ognia. Oczywiście to było na nic. Nikt nie mógł wytrzymać w dole więcej niż minutę. Mahon zeskoczył pierwszy i zemdlał tam; to samo stało się z majtkiem, który się zsunął po niego. Wyciągnęliśmy ich na pokład. Potem znów ja zeskoczyłem, aby pokazać, jak to się łatwo da zrobić. Mieli już wówczas doświadczenie i poprzestali na tym, że wyłowili mnie za pomocą haka na łańcuchu przymocowanym, zdaje się, do kija od szczotki. Nie zaproponowałem, że wrócę po szufłę, którą zostawiłem tam w dole.

Zaczęło to brzydko wyglądać. Spuściliśmy na morze szalupę. Druga łódź była gotowa do spuszczenia. Mieliśmy też jeszcze jedną, czternastostopową łódkę wiszącą na żurawikach z tyłu, gdzie była zupełnie bezpieczna.

I oto — wyobraźcie sobie — dym zaczął się nagle zmniejszać. Podwoiliśmy wysiłki, aby zalać całe dno okrętu. Po dwóch dniach wcale już dymu nie było. Każdy z nas uśmiechał się od ucha do ucha. To było w piątek. W so-

botę nie mieliśmy już żadnej pracy, oczywiście poza obsługą statku. Ludzie uprali sobie ubrania, umyli twarze pierwszy raz od dwóch tygodni i dostali specjalny obiad. Mówili z pogardą o samorodnym ogniu dając do zrozumienia, że kto jak kto, ale oni to już umieją dać sobie z tym radę. Czuliśmy się tak, jakby każdy z nas odziedziczył duży majątek. Ale paskudny zapach spalenizny wałęsał się wciąż po okręcie. Kapitan Beard miał wpadnięte oczy i zakłęste policzki. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jaki jest koślawy i pochylony. Obaj z Mahonem krążyli spokojnie — wężąc u luków i wentylatorów. Uderzyło mnie nagle, że biedny Mahon jest bardzo, bardzo starym jegomościem. Co do mnie, byłem taki uradowany i dumny, jakbym był pomógł do wygrania wielkiej morskiej bitwy. O młodości!

Noc była piękna. Rano minął nas za rufą statek dążący do kraju — pierwszy, jaki widzieliśmy od miesięcy; ale zbliżaliśmy się już na koniec do lądu. Przylądek Jawajski był od-

dalony o jakieś sto pięćdziesiąt mil w prostej linii na północ.

Nazajutrz wypadła mi od ósmej do dwunastej wachta na pokładzie. Przy śniadaniu kapitan zauważył:

— To dziwne, jak ten zapach wciąż się trzyma kajuty.

Okolo dziesiątej, gdy pierwszy oficer był na tylnym pomoście, zeszedłem na chwilę na główny pokład. Za głównym masztem stał warsztat ciesielski; oparłem się o niego pykając fajkę, a cieśla, młody chłopak, zbliżył się, aby ze mną pogawędzić. Zagadnął:

— Tak mi się widzi, że sprawiliśmy się bardzo porządnie, no nie? — i w tej samej chwili spostrzegłem z rozdrażnieniem, że ten bałwan usiłuje przechylić warsztat. Rzekłem sucho:

— Przestań, Chips — i natychmiast zdałem sobie sprawę z dziwaczного uczucia, z idiotycznego złudzenia — wydawało mi się, mianowicie, że jestem w powietrzu. Naokoło siebie słyszałem jakby jakiś potężny, długo powstrzymywany oddech — jakby z tysięcy ol-



brzymów rzekło jednocześnie: „Phuu!” — i poczułem tępe wstrząśnienie, od którego zabolaly mię nagle zebra. Nie ulegało wątpliwości — znajdowałem się w powietrzu; ciało moje zakreślało krótką parabolę. Ale choć była krótka, zdążyłem sformułować przez ten czas kilka myśli i o ile pamiętam, w następującym porządku: „Tego nie zrobił cieśla. — Co to takiego? — Jakiś wypadek. — Wulkan podwodny? — Węgle, gaz! Boże wielki! wylatujemy w powietrze. — Wszyscy zginęli. — Wpadam do tylnego luku. — Widzę, że się tam pali”.

Pył węglowy, zawieszony w powietrzu ładowni, zapłonął ciemną czerwienią w chwili wybuchu. W mgnieniu oka, w ułamek sekundy od pierwszego przechylenia się warsztatu leżałem jak długi na ładunku. Podniosłem się i wygramoliłem. Stało się to szybko, jak gdybym się odbił. Pokład był gąszczem strzaskanych drewnien, krzyżujących się jak drzewa w lesie po przejściu huraganu; olbrzymia zasłona z ciężkich łachmanów powiewała z wolna przede mną — to główny żagiel poszarpany na strzępy. Po-

myślałem: „Maszty runą natychmiast” — i aby usunąć się na bok, popędziłem na czworakach ku trapowi<sup>10</sup> na rufie. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Mahon z oczyma jak spodki i otwartymi ustami; długie białe włosy stały wkoło jego głowy jak srebrna aureola. Miał właśnie zejść na dół, gdy skamieniał u szczytu schodów na widok głównego pokładu, który się poruszył, podniósł i zmienił w drzazgi w jego oczach. Gapiłem się na Mahona nie wierząc własnym oczom, a on patrzył we mnie z jakąś dziwną, wstrząśniętą ciekawością. Nie wiedziałem, że nie mam włosów, brwi, rzęs, że moje młodociane wąsiki są spalone, twarz czarna, policzek rozcięty, nos skaleczony i broda we krwi. Zgubiłem czapkę, jeden trzewik, a koszulę miałam poszarpaną na łachmany. O tym wszystkim nie miałem pojęcia. Byłem zdumiony, że statek trzyma się jeszcze na wodzie, że tylny pomost jest cały — a najbardziej mię zdumiewał widok kogoś żywego. Spokój nieba i po-

---

<sup>10</sup>*trap* — skośnie zawieszony, składane schody służące do wchodzenia na pokład z nabrzeża oraz schodzenia z pokładu na brzeg lub inną jednostkę pływającą; w czasie żeglugi trap leży złożony przy burcie. [przypis edytorski]

godne morze dziwiły mnie też niezmiernie. Wi-  
docznie się spodziewałem, że będą się więc ze  
zgrozy... Dajcie butelkę.

Jakiś głos obwoływał skądś statek — z po-  
wietrza, z nieba — nie umiałem zdać sobie spra-  
wy. Wkrótce zobaczyłam kapitana — a kapi-  
tan miał bzika. Zapytał mnie skwapliwie: „Gdzie  
jest stół z kajuty?” To pytanie wstrząsnęło mną  
straszenie. Zrozumcie, dopiero co wyleciałem  
w powietrze i dygotałem po tym przeżyciu —  
nie byłem zupełnie pewien, czy żyję. Mahon  
zaczął tupać obiema nogami i wrzasnął do ka-  
pitana:

— Boże święty, czy pan nie widzi, że po-  
kład wyleciał w powietrze?

Odzyskałem głos i wyjąkałem, jakbym się  
poczuwał do zaniedbania jakiegoś ważnego obo-  
wiązku:

— Nie wiem, gdzie jest stół z kajuty.

To wszystko było jak jakiś idiotyczny sen.

Czy wiecie, czego potem zażądał? Zażądał, żeby zbrasować reje<sup>11</sup>. Z wielkim spokojem, jakby był zatopiony w myślach, nalegał, aby obrócić przednią reję na trawers<sup>12</sup>.

— Ja nie wiem, czy kto jeszcze żyje — rzekł Mahon prawie z płaczem.

— Z pewnością zostało ich dość — odpowiedział kapitan łagodnie — żeby obrócić przednią reję na trawers.

W chwili wybuchu staruszek był, jak się zdaje, w swojej kabinie i nakręcał właśnie chronometry, gdy się zatoczył od wstrząsu. Natomiast przyszło mu na myśl — jak później opowiadał — iż barka o coś uderzyła — i wybiegł do kajuty. Tam spostrzegł, że stół gdzieś zniknął. Gdy pokład wyleciał w powietrze, stół spadł oczywiście do magazynu. Na miejscu, gdzie tego dnia rano jedliśmy śniadanie, kapitan zo-

---

<sup>11</sup>*brasować* — obracać reje pod najkorzystniejszym kątem do wiatru za pomocą brasów (tj. olinowania ruchomego pozwalającego na obracanie rei w poziomie); brasowanie wymaga wykonania obrotu dla wszystkich rei danego masztu jednocześnie; *reja*: poziome drzewce umocowane do masztu, do rei przyczepiony jest górny brzeg (tzw. lik) żagla. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*trawers* — kierunek prostopadły do umownej linii łączącej dziób z rufą statku. [przypis edytorski]

baczył tylko wielką dziurę w podłodze. To mu się wydało tak strasznie tajemnicze i zrobiło na nim tak olbrzymie wrażenie, że wszystko, co widział i słyszał wydostawszy się na pokład, było już dla niego drobnostką. A pomyślcie, że spostrzegł natychmiast porzucone koło od steru, spostrzegł, że barka zboczyła z drogi — i jedyną jego myślą było skierować tę nędzną, obdartą, pozbawioną pokładu, tlejącą łupinę dziobem ku wyznaczonemu portowi. Bangkok! Szło mu tylko o to. Mówię wam, że ten spokojny, pochylony, prawie ułomny człowiek o pałakowatych nogach był olbrzymem w prostocie swego zamysłu, w spokojnej niewiedzy o naszym wzburzeniu. Skierował nas ku przodowi rozkazującym gestem i poszedł sam ująć koło.

Tak, to była pierwsza rzecz, którą zrobiliśmy — zbrasowaliśmy reje na tym wraku! Nikt nie zginął ani nie stał się niezdolny do pracy, ale każdy z nas był ciężiej lub lżej ranny. Trzeba wam było ich widzieć! Niektórzy byli w łachmanach, z czarnymi twarzami — jak

węglarze, jak kominiarze — a głowy ich, gładkie jak kule, wyglądały niby krótko ostrzyżone, ale w rzeczywistości osmalone były do skóry. Inni, ci z dolnej wachty, którzy podczas snu zostali wysadzeni z zapadających się koi, trzęśli się bez ustanku i jęczeli, nawet krzątając się przy pracy. Ale pracowali wszyscy. Ta liverpoolska załoga, załoga od ciężkich wypadków, miała w sobie odpowiedni materiał. Wiem z doświadczenia, że marynarze mają go zawsze. To morze go daje — obszar, samotność otaczająca ciemne, tępe dusze. No więc — potykaliśmy się, padali, zdzieraliśmy sobie skórę o te szczątki — i zmieniliśmy kurs statku w kierunku wiatru. Maszty stały, ale nie wiedzieliśmy, na ile są zwęglone od dołu. Było prawie zupełnie spokojnie, lecz długa fala nadbiegła od zachodu i rozkołysała statek. Maszty mogły runąć lada chwila. Popatrywaliśmy na nie z lękiem. Nie podobna było przewidzieć, w którą stronę upadną.

Potem cofnęliśmy się na rufę i rozejrzeliśmy się. Pokład był plątaniną desek leżących

bokiem i stojących na sztorc, szczap, zdruzgotanych sprzętów z drzewa. Maszty wznosiły się z tego chaosu jak wielkie drzewa nad skłębionym poszyciem lasu. Puste miejsca wśród masy szczątków były wypełnione czymś białawym, poruszającym się ślimaczo, podobnym do tłustej mgły. Dym z niewidzialnego ognia znów się pokazał, siał się jak trujący, gęsty opar w jakiejś dolinie zawalonej martwymi drewnami. Ospale kosmyki zaczynały się już kłębić ku górze wśród masy szczap. Gdzieniegdzie kawał drewna tkwił prostopadle, podobny do słupa. Półkołkownicy<sup>13</sup> przymasztowej przebiło przedni żagiel, a niebo kładło plamę wspaniałego błękitu na ohydne zszargane płótno. Kilka desek trzymających się razem upadło w poprzek poręczy i jedna deska wystawała za burtę niby kładka nie prowadząca nigdzie, niby kładka prowadząca nad głębokie morze, prowadząca w śmierć — jakby nas zapraszała, aby wejść na nią od razu i skończyć z naszymi śmiesznymi troskami.

---

<sup>13</sup>*kołkownica* — belka z otworami, w które wkłada się kołki do mocowania lin, umieszczona na maszcie lub nadburciu. [przypis edytorski]

A powietrze, niebo — duch jakiś, coś niewidzialnego — obwoływało wciąż okręt.

Któryś z nas był na tyle rozsądny, że spojrzął za burtę i okazało się, iż tam jest sternik, który skoczył instynktownie w morze, a teraz chciał się dostać z powrotem. Krzyczał i płynął gwałtownie jak tryton, trzymając się na jednej linii z okrętem. Rzuciliśmy mu linę; stanął wkrótce między nami, ociekający wodą i wielce zgnębiony. Kapitan oddał mu koło i usunął się na bok; z łokciem wspartym o poręcz i brodą w dłoni patrzył zamyślony na morze. Pytaliśmy się siebie: co teraz będzie? A ja myślałem: „No, to jest coś porządnego. To doprawdy jest wielkie. Ciekawe, co się też stanie...”. O młodości!

Nagle Mahon dojrzał parowiec daleko za rufą. Kapitan Beard rzekł:

— Możemy jeszcze coś z nim zrobić.

Wywiesiliśmy dwie flagi, które znaczą w międzynarodowym morskim języku: „Pożar. Potrzebna natychmiastowa pomoc”. Parowiec powiększył się szybko i wkrótce przemówił dwie-



ma flagami na przednim maszcie: „Idę na ratunek”.

W pół godziny znalazł się na jednej linii z nami po stronie nawietrznej, na odległość głosu, z lekka się kołysząc z zatrzymanymi maszynami. Straciliśmy panowanie nad sobą i wrzasnęliśmy wszyscy razem w podnieceniu:

— Wysadziło nas w powietrze!

Jakiś człowiek w białym hełmie stojący na mostku odkrzyknął:

— Aha! Dobrze, dobrze! — i kiwał głową, i uśmiechał się, i machał ku nam ręką łagodnie, jakbyśmy byli gromadą przerażonych dzieci.

Jedna z łodzi opadła na wodę i szła ku nam po morzu na długich wiosłach. Czterej kalasze<sup>14</sup> wiosłowali, rozkołysani miarowo. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy malajaskich żeglarzy. Poznałem ich później dobrze, ale wówczas uderzyła mnie ich obojętność: podjechali tuż pod burtę i nawet dziobowy, trzymający się bosa-

---

<sup>14</sup>*Kalasz* — grupa etniczna zamieszkująca obszary od Turcji do Indii; pod koniec XIX w. przez tereny zamieszkałe przez Kalaszów przebiegała (po szczytach gór Hindukusz) granica między indyjsko-pakistańskimi ziemiami kolonii Imperium Brytyjskiego a Afganistanem; tu: tubulcy. [przypis edytorski]

kiem naszych cum, nie raczył podnieść głowy i spojrzeć w górę. Pomyślałem, że ludzie, którzy wylecieli w powietrze, zasługują na więcej uwagi.

Mały człowieczek, suchy jak wiór i zręczny jak małpa, wspiał się na górę. Był to pierwszy oficer z parowca. Rzucił okiem i zawołał:

— Oj, chłopcy, opuście wy lepiej okręt.

Milczeliśmy. Rozmawiał z kapitanem czas jakiś na osobności — zdawał się coś mu przekładać. Potem pojechali razem na parowiec.

Kiedy nasz szyper wrócił, dowiedzieliśmy się, że parowiec nazywa się „Somerville”, a kapitan — Nash i że wiozą pocztę z zachodniej Australii do Singapuru przez Batawię. Kapitan zgodził się holować nas do Andzeru albo Batawii — jeśli to będzie możliwe — gdzie ugasimy ogień, zrobiwszy dziurę w dnie statku, po czym puścimy się znowu w drogę — do Bangkoku! Nasz stary wyglądał na podnieconego.

— Jeszcze tam zajedziemy — rzekł z zawziętością do Mahona. Pogroził pięścią niebu.

Nikt się już nie odezwał.

O dwunastej parowiec zaczął nas holować. Jechał naprzód, smukły i wysoki, a to, co pozostało z „Judei”, dążyło za nim szybko na końcu siedemdziesięciosześniowej liny holowniczej jak obłok dymu ze sterczącymi w górę masztami. Wspięliśmy się na maszty, aby zwinąć żagle. Kaszlaliśmy na rejach układając starannie buchty<sup>15</sup>. Czy sobie wyobrażacie tę naszą gromadkę tam w górze zwijającą porządnie żagle okrętu, któremu było sądzone nigdzie już nie dojechać? Nie znalazł się między nami ani jeden, który by nie pomyślał, że maszty runą lada chwila. Dym nie pozwalał nam dojrzeć z góry pokładu, a ludzie pracowali starannie, okręcając sejzyngi<sup>16</sup> w równych odstępach.

— Zwijać mi żagle po portowemu, tam w górze! — krzyknął z dołu Mahon.

Czy wy to rozumiecie? Nie zdaje mi się, aby którykolwiek z tych chłopców sądził, że się

---

<sup>15</sup>*buchta* — zwój liny ułożonej tak, by można było w razie potrzeby natychmiast ją rozwinąć, bez ryzyka splątania. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*sejzyng* a. *sejzing*, — krótki (o dł. 0,5–1,5 m) linka zakończona zaplecionym uchem, służąca do związywania zrzuconych żagli przy drzewcach, wiązania bucht (ułożonych zwojów) grubej liny itp. [przypis edytorski]

dostanie na dół zwyczajnym sposobem. Kiedyśmy zeszli, słyszałem, jak mówili między sobą:

— No, byłem pewien, że się zwalimy za burzę — wszystko w kupie — i patyki, i my — żebym skisł, jeśli tak nie myślał.

— A jakże, i ja też tak myślałem — odrzekło znużonym głosem inne poharatane i obandażowane czupiradło.

I pomyślcie — przecie ci ludzie nie mieli za sobą karności wdrożonej przez musztrę. Dla postronnego widza wyglądałoby jak zbiorowisko skończonych urwipołciów, niemających żadnej jaśniejszej strony. Co ich skłoniło do wykonania tego rozkazu, co sprawiło, że byli mi posłuszni, gdy — myśląc z całą świadomością, jakie to piękne — kazałem im dwa razy opuścić bant<sup>17</sup> przedniego żagla i lepiej go złożyć? Co tu wchodziło w grę? Ci majtkowie nie mieli zawodowej ambicji ani wzorów, nie oczekiwali pochwał. Nie przemawiało przez nich poczucie obowiązku; wszyscy umieli się

---

<sup>17</sup>*bant* a. *banta* — kilkuwarstwowy pas płótna stanowiący wzmocnienie na krawędziach, rogach i w poprzek żagla. [przypis edytorski]

doskonale wymawiać, wykręcać i wałkonić — kiedy mieli ochotę — a przeważnie ją mieli. Czy odgrywały tu rolę te dwa funty dziesięć szylingów na miesiąc? Uważali, że powinni mieć przynajmniej dwa razy tyle. Nie; przyczyną ich zachowania było coś, co tkwiło w nich samych, co jest wrodzone i subtelne, i wieczne. Nie twierdzę stanowczo, że załoga francuskiego lub niemieckiego okrętu nie mogła tego zrobić, ale wątpię, czy zrobiłaby to w ten sposób. Była w tym jakaś skończoność, coś, co równie jest mocne jak zasada i równie potężne jak instynkt — ujawnienie czegoś tajnego, ukrytego — tego daru dobra czy zła, który stanowi o rasie, który kształtuje los narodów.

Właśnie tej nocy o dziesiątej ujrzeliśmy po raz pierwszy ogień, któryśmy zwalczali. Znaczna szybkość, jaką rozwinął statek podczas holowania, rozdmuchała tlejące zarzewie. Niebieskie światło ukazało się na przodzie błyszcząc pod wrakiem pokładu. Chwiało się płatami, zdawało się poruszać i pełzać jak światło święto-

jańskiego robaczka. Spostrzegłem je pierwszy i powiedziałem o tym Mahonowi.

— No, to już wszystko skończone — rzekł. — Dajmy lepiej pokój temu holowaniu, bo inaczej statek wybuchnie nagle z tyłu i z przodu, zanim zdążymy uciec.

Okrzyknęliśmy się głośno; zaczęliśmy dzwonić, aby zwrócić uwagę ludzi z parowca; nic z tego, holowali nas w dalszym ciągu. Wreszcie Mahon i ja musieliśmy popętnać na bak i przeciąć linę toporem. Nie było czasu na odwiązywanie postronków. Pokazywały się już czerwone języki lizące gąszcz szczap pod naszymi nogami, gdyśmy wracali na rufę.

Oczywiście na parowcu spostrzeżono prędko, że lina znikła. Rozległ się głośny gwizd, światła parowca zatoczyły rozległe półkole, statek zbliżył się do nas i zatrzymał burta w burtę. Staliśmy wszyscy zbitą gromadką na rufie i patrzyliśmy na niego. Każdy majtek wyratował niewielkie zawiniątko lub torbę. Nagle stożkowaty płomień o skręconym czubie strzelił w górę nad bakiem i rzucił na czarne morze

krąg światła naokoło tych dwóch statków, kołyszących się z lekka obok siebie. Kapitan Beard siedział od wielu godzin na okrętowaniu, milczący i nieruchomy; teraz dźwigał się powoli i wysunął na czoło naszej gromadki, aż do want<sup>18</sup> masztu tylnego. Kapitan Nash zawołał:

— Chodźcie do nas! Spieszcie się. Mam na statku worki z pocztą. Zabiorę was i wasze łodzie do Singapuru.

— Nie, dziękuję panu — rzekł nasz szyper.  
— Musimy dotrwać aż do końca.

— Nie mogę zostać z wami ani chwili dłużej — krzyknął tamten. — Poczta — pan rozumie.

— Tak, naturalnie. Nic nam nie trzeba.

— Doskonale! Doniosę o was w Singapurze. Do widzenia!

Skinął ręką na pożegnanie. Nasi ludzie położyli spokojnie węzółki. Parowiec posunął się naprzód i wyszedłszy z kręgu światła znikł natychmiast z naszych oczu oślepionych przez ogień

---

<sup>18</sup>*wanta* — lina (zwykle spleciona z drutu) stabilizująca maszt w pionie. [przypis edytorski]

palący się gwałtownie. I wówczas już wiedziałem, że ujrzę wschód po raz pierwszy jako dowódca małej łódki. Wydało mi się to piękne; wierność dla starego statku była też piękna. Obowiązek wymagał, aby dotrzeć na nim do końca. O blasku młodości! O młodzieńczy ogniu, który olśniewasz bardziej niż płomienie palącego się statku i rzucasz czarodziejską jasność na szeroką ziemię, i skaczesz zuchwale w niebo — póki wnet ciebie nie stłumi czas, bardziej okrutny i bezlitosny, bardziej gorzki niż morze — młody ogień. Jak płomienie palącego się statku otoczony nieprzeniknioną nocą.

\*

Stary upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, że obowiązek wymaga, aby ocalić ze sprzętów okrętowych, ile tylko się da — dla akcjonariuszy. Tedy poszliśmy pracować na rufę, a okręt palił się od przodu, aby dostarczyć nam światła pod dostatkiem. Powyciągaliśmy mnóstwo rupieci. Czego tam nie było! Stary barometr, przymocowany idiotyczną ilo-



ścią śrubek, kosztował mię prawie życie: dym ogarnął mnie nagle i ledwie zdążyłem uciec. Były tam różne zapasy, bale żaglowego płótna, zwoje lin: rufa wyglądała jak jaki bazar morski, a łódki były zapchane aż po burty. Mogło się zdawać, że stary chciał zabrać, ile tylko się dało, ze swego pierwszego dowództwa! Był bardzo, bardzo spokojny, tyko najwidoczniej stracił równowagę. Czy uwierzycie? Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od zapasowej kotwicy i kotwicę zawozową<sup>19</sup>. Odpowiadaliśmy z szacunkiem: — „Dobrze, dobrze, panie kapitanie” — i po cichu spuszczaaliśmy różne przedmioty za burtę. Ciężka skrzynia z lekarstwami poszła tą drogą, dwa worki zielonej kawy, puszki z farbą — wyobraźcie sobie, puszki z farbą! — całe mnóstwo rzeczy. Potem dostałem rozkaz, aby z dwoma ludźmi wsiąść do łodzi, wszystko uporządkować i trzymać się w pogotowiu czekając na chwilę, gdy trzeba będzie statek opuścić.

---

<sup>19</sup>*kotwica zawozowa* a. *kotwica zawoźna* — stosunkowo lekka kotwica służąca do ściągania statku z mielizny. [przypis edytorski]

Doprowadziliśmy wszystko do ładu, ustawiliśmy w szalupie maszt dla naszego szypra, który miał objąć nad nią komendę; wtedy z przyjemnością usiadłem sobie na chwilę. Nie miałem naskórka na twarzy, członki bolały mię jak połamane, czułem wszystkie żebra i byłbym przysiągł, że mam przetrącony krzyż. Łódki tuż za rufą leżały w głębokim cieniu, a naokoło widziałem krąg morza oświetlony przez ogień. Olbrzymi płomień wznosił się nad bakiem, prosty i jasny. Płonął gwałtownie wśród szmerów podobnych do trzepotu skrzydeł, wśród dudnienia podobnego do grzmotów. Rozlegały się trzaski, huki, ze stożkowatego ognia leciały w górę iskry — jako że człowiek rodzi się dla trosk, dla borykania się z ciekącymi statkami i ze statkami, które się palą.

Okręt leżał bokiem do fali i do wiatru — który ledwie, ledwie że dmuchał — a najwięcej niepokoiło mnie to, że łódki nie chciały się trzymać za rufą, gdzie były bezpieczne, ale z bezmyślnym uporem właściwym łódkom pchały się pod konchę, aby się potem kołysać wzdłuż

burty. Plątały się niebezpiecznie to tu, to tam, zbliżając się do ognia, a okręt najeżdżał na nie i oczywiście groziło nam wciąż, że maszty zwałą się lada chwila za burteę. Ja i dwóch moich majtków odpychaliśmy łódki w miarę sił wiosłami i bosakami, ale zaczęło mnie to wreszcie złościć, tym bardziej że nic nie stało na przeszkodzie natychmiastowemu odjazdowi. Nie mogliśmy dojrzeć ludzi na pokładzie ani odgadnąć, co było przyczyną zwłoki. Majtkowie klęli pod nosem, a ja nie tylko musiałem odrobić swoją część pracy, ale i przynaglać do niej dwóch ludzi, którzy zdradzali nieustanną skłonność do położenia się i machnięcia ręką na wszystko.

Wreszcie zawołałem:

— Hej tam, na pokładzie! — Ktoś wyjrzał zza burty. — Jesteśmy gotowi — rzekłem.

Głowa znikła i bardzo prędko wysunęła się znowu.

— Pan kapitan mówi, że to bardzo dobrze i żeby trzymać łódki z daleka od statku.

Minęło pół godziny. Nagle rozległ się straszny hałas, grzechot, brzęk łańcuchów, syk wody, i miliony iskier wzleciały w chybotliwą kolumnę dymu, która stała z lekka pochylona nad okrętem. Żurawiki kotwiczne spłonęły i dwie rozpalone do czerwoności kotwice poszły na dno, wyszarpując za sobą dwieście sążni rozpalonego do czerwoności łańcucha. Okręt zadrział, masa płomieni zakołysała się, jakby miała się zapaść, i szczyt masztu przedniego runął. Poleciał w dół jak ognista strzała, zanurzył się w wodzie i wyskoczywszy natychmiast na powierzchnię o długość wiosła od łódek, płynął spokojnie, bardzo czarny na jaśniejącym morzu. Okrzyknąłem znów pokład. Po pewnym czasie jeden z ludzi na statku oznajmił mi nadspodziewanie wesołym, a zarazem stłumionym głosem, jakby usiłował mówić z zamkniętymi ustami:

— Zaraz zejdziemy, panie poruczniku — po czym znikł.

Przez długi czas nie dochodziło nic do moich uszu prócz łopotu i huku ognia. Słysząc

było także poświaty. Łodzie podskakiwały, targając linami, wjeżdżały na siebie żartobliwie, zdarzały się bokiem lub wbrew wszystkiemu naszym wysiłkom kołysały się gromadką pod burzą okrętu. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać i wdrapawszy się po linie dostałem się na rufę.

Było jasno jak w dzień. Wszedłem na pokład; ściana ognia naprzeciw mnie wydała mi się czymś przerażającym, a gorąco z początku było prawie nie do zniesienia. Na poduszce przywleczonej z kanapy w kajucie spał kapitan Beard ze skulonymi nogami, podłożywszy ramię pod głowę, a światło igrało po nim. Czy wiecie, czym była zajęta reszta ludzi? Siedzieli na pokładzie, na samej rufie, wkoło otwartej paki, i jedli chleb z serem popijając porter z butelek.

Na tle płomieni, wijących się we wściekłych językach nad głowami, zdawali się czuć u siebie jak salamandry i wyglądali na bandę desperackich korsarzy. Ogień iskrzył się w białkach ich oczu, połyskiwał na płatach białej skó-

ry wyglądającej przez podarte koszule. Każdy miał na sobie ślady jak gdyby bitwy — głowy były obandażowane, ramiona podwiązane, kolana obwinięte w brudne szmaty — i każdy trzymał między nogami butelkę, a w garści pajdę sera. Mahon podniósł się. Ze swą piękną, awanturniczą głową, profilem o garbatym nosie, długą białą brodą i odkorkowaną butelką w ręku podobny był do jakiegoś zuchwałego korsarza z dawnych czasów, weselącego się wśród gwałtów i zniszczenia.

— Ostatni posiłek na pokładzie — wyjaśnił uroczyście. — Nie mieliśmy nic w ustach przez cały dzień i po co tu to wszystko zostawiać. — Machnął butelką, wskazując na śpiącego szypra. — Powiedział, że nie może nic przełknąć, więc namówiłem go, żeby się położył — ciągnął dalej; a widząc, że się w niego wpatruję, dodał: — Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, mój młody panie, że ten człowiek nie spał już porządnie od wielu dni, a w łodziach diabelnie trudno będzie o sen.

— Wkrótce już wcale łodzi nie stanie, jeśli będziecie tu jeszcze dłużej błaznować — rzekłem z oburzeniem.

Zbliżyłem się do szypra i potrząsnąłem go za ramię. Otworzył w końcu oczy, ale się nie poruszył.

— Czas opuścić statek, panie kapitanie — powiedziałem spokojnie.

Dźwignął się z trudnością, spojrzął na płomień, na morze iskrzące się wokoło statku, a dalej czarne, czarne jak atrament; spojrzął na gwiazdy świecące niewyraźnie przez cienką zasłonę dymu na niebie czarnym, czarnym jak Ere<sup>20</sup>.

— Najpierw najmłodszy — rzekł.

Zwyczajny majtek, obtarłszy usta wierzchem dłoni, wstał, przelazł przez burtę i zniknął. Inni poszli jego śladem. Jeden zatrzymał się u burty, wysączył do dna butelkę i rzucił ją w ogień z wielkim rozmachem.

— Weź to! — krzyknął.

---

<sup>20</sup>Ereb (mit. gr.) — najciemniejsza część Hadesu, podziemnego świata zmarłych. [przypis edytorski]

Kapitan ociągał się, niepocieszony; zostawiliśmy go, aby obcował przez chwilę sam na sam z pierwszym swoim dowództwem. Potem wspiąłem się znów na pokład i wprowadziłem go wreszcie. Czas naglił. Żelastwo na rufie było gorące przy dotknięciu.

Potem lina szalupy została odcięta i wszystkie trzy łódki związane razem oddaliły się z prądem od statku. W chwili gdy opuszczaliśmy okręt, upłynęło dokładnie szesnaście godzin od wybuchu. Mahon objął komendę nad drugą łodzią, a ja miałem najmniejszą — czternastopopową. Szalupa byłaby pomieściła nas wszystkich, ale szyper powiedział, że musimy uratować z okrętowego dobra, ile tylko się da — dla akcjonariuszy — i w taki to sposób objąłem swoje pierwsze dowództwo. Miałem z sobą dwóch ludzi, worek sucharów, kilka puszek z mięsem i beczką wody. Rozkazano mi trzymać się blisko szalupy, aby w razie niepogody mogła nas zabrać.

I wiecie, co pomyślałem? Pomyślałem, że odłączę się od kompanii możliwie najprędzej.



Chciałem zachować swoje pierwsze dowództwo wyłącznie dla siebie. Nie śniło mi się żeglować z całym oddziałem, jeśli mi się nadarzy sposobność do samodzielnej przeprawy. Wyląduję sam. Pobiję inne łodzie. Młodości! Wszystko to była młodość! Niemądra, czarowna, wspaniała młodość.

Ale nie wyruszyliśmy od razu. Musieliśmy być obecni przy ostatnich chwilach okrętu. Więc łódki dryfowały tu i tam w ciągu tej nocy, wznosząc się i opadając na falach. Ludzie drzemali, budzili się, wzdychali, jęczeli. Patrzyłem na palący się okręt.

Między ciemnością nieba i ziemi płonął burzliwie na tarczy purpurowego morza pocętkowanej grą krwawych błysków — na wodnej tarczy połyskliwej i ponurej. Wysoki, jasny płomień, olbrzymi i samotny, wznosił się nad oceanem, a z wierzchołka tego płomienia czarny dym płynął wciąż w niebo. Statek palił się gwałtownie, ponury i imponujący jak pogrzebowy stos zażegnany wśród nocy, otoczony morzem, strzeżony przez gwiazdy. Wspaniała śmierć spły-

nęła jak łaska, jak dar, jak nagroda na ten stary okręt u kresu jego pracowitych dni. Podanie się jego znużonego ducha opiece morza i gwiazd było wzruszające niby widok wspaniałego tryumfu. Maszty zwały się tuż przed świtem — buchnęła zamieć iskier i przez chwilę wypełniła jak gdyby lotnym ogniem noc cierpliwą i czujną, rozległą noc leżącą cicho na morzu. O brzasku statek był już tylko zwęgloną skorupą, która płynęła spokojnie pod chmurą dymu, z rozżarzoną masą węgla w swym wnętrzu.

Wtedy wyjęliśmy wiosła z wody i łódki ustawiły się szeregiem, okrążając szczątki statku jakby w uroczystym pochodzie, z szalupą na czele. Gdy mijaliśmy rufę, smukły grot ognia strzelił gniewnie w naszą stronę — i nagle okręt poszedł na dno, dziobem naprzód, wśród rozgłośnego syku pary. Niedopalona rufa zanurzyła się na ostatku, lecz farba już z niej opadła, popękała, złuszczyła się; znikły litery i słowa, i uparta dewiza, która była niejako duszą i mo-

gła błysnąć ku wschodzącemu słońcu hasłem statku i jego imieniem.

Skierowaliśmy się na północ. Podniosła się bryza i około dwunastej wszystkie łodzie zeszły się po raz ostatni. Nie miałem w swojej łódce ani masztu, ani żagla, ale zrobiłem maszt ze zbywającego wiosła i zawiesiłem zamiast żagla pokrowiec od szalupy z bosakiem jako reją. Takielunek łodzi był bezsprzecznie za ciężki, lecz cieszyła mnie pewność, że przy pełnym wietrze mogę pobić obie pozostałe łódki. Musiałem na nie poczekać. Potem przyjrzelśmy się wszyscy mapie kapitana i po wspólnym posiłku z twardego chleba i wody odebraliśmy ostatnie rozkazy. Były bardzo proste: sterować na północ i trzymać się możliwie najbliżej jeden drugiego.

— Ostrożnie z tym prowizorycznym takielunkiem, Marlow — rzekł kapitan, a Mahon — gdy przejeżdżałem dumnie koło jego łodzi — zmarszczył garbaty nos i zawołał:

— Mój panie młody, zajedziesz z tym swoim okrętem na dno, jeśli nie będziesz uważał.

Był to złośliwy starzec — i oby głębokie morze, gdzie śpi teraz, kołysało go łagodnie, kołysało go tkliwie aż po kres wieków!

Przed zachodem ulewny szkwał przeszedł nad tamtymi dwiema łodziami, które zostały daleko za rufą, i wtedy straciłem je z oczu na pewien czas. Następnego dnia siedziałem sterując swoją łupinką — pierwszym swoim dowództwem — a naokoło mnie było tylko niebo i woda. Dostrzegłem po południu górne żagle okrętu w oddali, ale nie powiedziałem nic, a moi ludzie go nie zauważyli. Widzicie, bałem się, że to może być okręt w drodze do kraju, a nie śniło mi się zawracać od samych wrót Wschodu. Sterowałem w kierunku Jawy — druga błogosławiona nazwa, uważacie — podobnie jak Bangkok. Sterowałem przez wiele dni.

Nie potrzebuję wam mówić, co to jest poniewieranie się po morzu w otwartej łodzi. Pamiętam dni i noce zupełnej ciszy, kiedyśmy wiosłowali, wiosłowali, a łódka zdawała się stać na miejscu, jakby spętana czarem w obręczy mor-

skiego horyzontu. Pamiętam upał, potopy nawałnic, które pod grozą śmierci zmuszały nas do wylewania bez tchu wody z łódki (lecz napełniały naszą beczkę), i pamiętam w końcu szesnaście godzin, w ciągu których z ustami wyschniętymi na żużel stawiałem czoło zbałwanionemu morzu na swym pierwszym dowództwie. Nie miałem przedtem pojęcia, jak dzielny jestem człowiekiem. Pamiętam zapadnięte twarze, zgnębione postawy moich dwóch ludzi, pamiętam swoją młodość i uczucie, które już nigdy nie wróci — uczucie, że będę trwał wiecznie, że przetrwam morze, ziemię i wszystkich ludzi; złudne uczucie, które wabi nas do radości, do niebezpieczeństw, do miłości, do próżnych wysiłków — do śmierci; tryumfalne poczucie siły — gorączkę życia w garstce prochu, a w sercu żar, który z każdym rokiem słabnie, ochładza się, zmniejsza, gaśnie — i zamiera — za wcześnie, za wcześnie — przed wygaśnięciem życia.

Tak oto widzę zawsze Wschód. Poznałem później tajne jego zakątki i patrzyłem mu w sa-

mą duszę, ale teraz widzę go zawsze z małej łódeczki: zarys wysokich gór, modrych i dalekich o poranku; podobnych do nikłej mgły w południe; stojących o zachodzie jak poszczerbiony mur z purpury. Czuję w ręku wiosło, w oczach mam palący błękit morza. I widzę zatokę — rozległą zatokę gładką jak szkło i polewaną jak lód — która połyskuje wśród ciemności. Czerwone światło pali się daleko wśród mroku wybrzeża, noc jest łagodna i ciepła. Wiosłujemy z trudem obolałymi ramionami i nagle powiew wiatru wyłania się z cichej nocy, powiew słaby, letni, nasycony dziwnymi zapachami kwiatów, aromatem wonnego drzewa — pierwszy oddech Wschodu na mojej twarzy. Nigdy tego nie zapomnę. Było to nieuchwytnie — a ujarzmiło jak czar, jak szept — zapowiedź tajemniczej rozkoszy.

Podczas ostatniego etapu wiosłowaliśmy jedenaście godzin. Dwóch wiosłowało, a ten, na którego wypadł odpoczynek, siedział przy rudlu<sup>21</sup>. Dostrzeżliśmy czerwone światło w za-

---

<sup>21</sup>*rudel* — rękojeść steru. [przypis edytorski]

toce i sterowaliśmy w jego kierunku, odgadując, że oznacza zapewne jakiś mały port nadbrzeżny. Minęliśmy dwa cudzoziemskie okręty o wysokich rufach, śpiące na kotwicy, i zbliżając się do światła — bardzo obecnie przyćmionego — uderzyliśmy dziobem o koniec sterującego pomostu. Byliśmy ślepi ze zmęczenia. Moi ludzie puścili wiosła i zsunęli się z ławek jak nieżywi. Przymocowałem łódkę do słupa. Jakiś prąd szemrał łagodnie. Pachnący mrok wybrzeża skupił się w wielkie masy; były to zapewne zwarte, olbrzymie kępy roślinności — owe kształty nieme i fantastyczne. U ich podnóża łuk brzegu majaczył jak złudzenie. Ani światła, ani ruchu, ani dźwięku. Oto przede mną Wschód pełen tajemnic, wonny jak kwiat, cichy jak śmierć, mroczny jak grób.

I siedziałem, znużony nad wszelki wyraz, tryumfujący jak zdobywca, rozbudzony i porwany zachwytem, jakbym miał przed sobą głęboką zagadkę kryjącą w sobie przeznaczenie.

Miarowy plusk wioseł rozległ się na poziomie wód, wyolbrzymiony przez ciszę wybrzeża

do rozgłośnego chlupotu. Skoczyłem na nogi. Zbliżała się łódź, europejska łódź. Wezwałem imienia zmarłego okrętu; okrzyknąłem się:

— Hej, na „Judei”! — Odpowiedział mi nikły głos.

Był to kapitan. Wyprzedziłem łódź dowódcy o trzy godziny i cieszyłem się, że słyszę znowu głos starego, drżący i znużony.

— To pan, Marlow?

— Niech pan uważa na koniec tego pomostu, panie kapitanie — odkrzyknąłem.

Podpłynął ostrożnie i przycumował łódź za pomocą głębokowodnej ołowianki, którą uratowaliśmy — dla akcjonariuszy. Oddałem nieco swojej liny i znaleźliśmy się burta w burtę. Siedział u steru w zgnębionej postawie, mokry od rosy, z rękoma splecionymi na kolanach. Jego ludzie już spali.

— Okropną miałem przeprawę — szepnął. — Mahon jest za nami, nie tak daleko.

Rozmawialiśmy szeptem, cichym szeptem, jakbyśmy się bali obudzić ów kraj. Armaty, gro-



my, trzęsienia ziemi nie zbudziłyby naszych ludzi.

Rozglądając się podczas rozmowy, zobaczyłem daleko na morzu jasne światło wędrujące wśród nocy.

— O, parowiec mija tam zatokę — rzekłem.

Ale nie minął zatoki, tylko wszedł do niej, a nawet zbliżył się tuż i zapuścił kotwicę.

— Chciałbym — rzekł stary — żeby się pan dowiedział, czy to statek angielski. Może by mógł nas gdzie zawieźć.

Kapitan wydał mi się zdenerwowany i niepokojny. Za pomocą okładania pięściami i kopania wprowadziłem jednego z moich ludzi w stan somnambulizmu, dałem mu wiosło, sam wziąłem drugie i skierowaliśmy się ku światłom parowca.

Słysząc tam było gwar głosów, metaliczne, głuche szczęki z maszynowni, kroki na pokładzie. Iluminatory jaśniały, okrągłe jak wytrzeszczone oczy. Krążyły postacie, a wysoko

na mostku tkwił niewyraźny zarys człowieka. Ten człowiek usłyszał moje wiosła.

I wówczas, nim jeszcze zdążyłem otworzyć usta, przemówił do mnie Wschód — ale przemówił w zachodnim języku. Potok słów został wylany w zagadkową, groźną ciszę; obcych, gniewnych słów, zmieszanych ze słowami i nawet całymi zdaniemami w poprawnym języku angielskim, co było mniej obce, lecz jeszcze bardziej zdumiewające. Głos ten kłął i wymyślał gwałtownie; podziurawił gradem przekleństw uroczysty spokój zatoki. Zaczął od nazwania mnie świnią i od tego epitetu przeszedł *crescendo* do niedających się powtórzyć przymiotników — angielskich. Ów człowiek na górze pienił się głośno w dwóch językach z taką szczerością w swej pasji, iż przekonał mię prawie, że popełniłem jakiś grzech przeciw harmonii wszechświata. Z trudem mogłem go dojrzeć, ale przyszło mi na myśl, że doprowadzi się do jakiegoś ataku.

Nagle zamilkł. Usłyszałem, że prycha i sapie jak delfin. Rzekłem:

— Co to za parowiec, proszę pana?

— Co? Co takiego? Kto pan jesteś?

— Jesteśmy załogą rozbitków z angielskiej barki, która się spaliła na morzu. Dobiliśmy tu dziś wieczór. Jestem drugim oficerem. Kapitan znajduje się w szalupie i chciałby wiedzieć, czy by pan nie mógł nas gdzie zabrać.

— Ach, Boże drogi! Doprawdy że... To jest „Celestial” z Singapuru w powrotnej drodze. Porozumiem się z waszym kapitanem jutro rano... i... tego... czy pan mnie słyszał przed chwilą?

— Zdaje mi się, że cała zatoka pana słyszała.

— Myślałem, że to łódź z wybrzeża. Niechże pan posłucha: ten przeklęty wałkoń, łotr — strażnik portowy — znów się pospał — niech go wszyscy diabli! światło zgasło i o mało co nie wpakowałem się na koniec tego, psiakrew, pomostu. Już trzeci raz urządza mi taki kawał. A teraz pytam się pana, czy mógłby kto znieść coś podobnego? To wystarczy, żeby człowieka doprowadzić do wariacji. Zrobię na niego ra-

port... Doprowadzę do tego, że pomocnik rezydenta wyrzuci go do diabła! Niech pan patrzy — nie ma światła. Zgasło, tak czy nie? Biorę pana na świadka, że światło zgasło. Powinno tam być światło, przecież pan wie. Czerwone światło na...

— Tam było światło — rzekłem łagodnie.

— Ale przecież zgasło, człowieku! Co panu przyjdzie z takiego gadania? Sam pan widzi, że zgasło — może nie? Gdyby pan musiał prowadzić porządny parowiec wzdłuż tego zatraczonego wybrzeża, potrzebowałby pan także światła. Dam mu takiego kopniaka, że polecą z końca na koniec swojego nędznego pomostu. Zobacz pan, że to zrobię. Ja go...

— Więc mogę powiedzieć mojemu kapitanowi, że pan nas zabierze? — wtrąciłem.

— Dobrze, zabiorę was. Dobranoc — rzekł szorstko.

Wróciłem, przywiązałem łódź do pomostu i nareszcie położyłem się spać. Poznałem już ciszę Wschodu. Słyszałem urywki wschodniego języka. Ale gdym znów otworzył oczy, cisza

była tak wielka, jakby nikt jej nigdy nie mącił. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie wydało mi się takie dalekie, takie wyniosłe. Otworzyłem oczy, leżąc wciąż bez ruchu.

I wówczas zobaczyłem ludzi Wschodu — patrzyli na mnie. Pomost — jak długi — wypełniony był ludźmi. Widziałem brunatne, brązowe, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumu. A wszystkie te istoty patrzyły we mnie bez szeptu, bez westchnienia, bez ruchu. Wpatrywały się w łódki na dole, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Pędy palm odcinały się spokojnie na tle nieba. Wzdłuż brzegu nie drgnęła ani jedna gałązka, a brunatne dachy ukrytych domów widać było zza zielonego listowia, zza wielkich liści, które zwisały, błyszczące i nieruchome jak liście wykute z ciężkiego metalu. To był zaiste Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspaniały i chmurny, żywy i niezmienny, pełen niebezpieczeństw i obietnic. A oto byli je-

go ludzie. Siadłem nagle. Fala ruchu przebiegła po tłumie od końca do końca wzdłuż szeregu głów, zakołysała ciałami, przemknęła po pomoście jak zmarszczka po wodzie, jak powiew wiatru po polu — i wszystko znów zamarło. Widzę to w tej chwili — rozległy łuk zato-ki, błyszczący piasek, przepych zieleni bogatej i różnorodnej, morze błękitne jak w marze-niu, tłum uważnych twarzy, blask jaskrawych barw — wodę odbijającą to wszystko, wygię-cie brzegu, pomost, statek krajowców o wyso-kiej rufie, tkwiący wciąż na wodzie, i trzy łód-ki ze znużonymi ludźmi z zachodu, pogrązo-nymi we śnie, nieświadomymi tego kraju i lu-du, i gwałtownego blasku słońca. Spali poroz-kładani w poprzek ławek, zwinięci w kłębek na belkach dna, w niedbałych pozach śmier-ci. Głowa starego szypra, rozpartego w rufie szalupy, opadła na piersi: wyglądał, jakby ni-gdy już nie miał się zbudzić. Dalej znów twarz starego Mahona zwrócona była ku niebu, dłu-ga biała broda rozpostarła mu się na piersi — zdawało się, że został zastrzelony tam u ru-

dla; a jakiś majtek, skuliwszy się w dziobie łodzi, spał, obejmując ramionami głowicę stewy przedniej<sup>22</sup>, z policzkiem przytulonym do burty. Wschód patrzył na nich w głuchym milczeniu.

Poznałem później czar Wschodu; zobaczyłem tajemnicze brzegi, cichą wodę, kraje brunatnych ludów, gdzie Nemezis czyha w ukryciu, ściga, dopada tak wielu z rasy zwycięskiej, pyszniącej się swą mądrością, swą wiedzą, swą siłą. Ale dla mnie cały Wschód zawarł się w tej wizji mojej młodości. Mieści się cały w owej chwili, gdy otworzyłem nań młode oczy. Dotarłem do niego po ciężkiej walce z morzem — i byłem młody — i zobaczyłem, że patrzy na mnie. I oto wszystko, co z tego pozostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, porywającej złudy — młodości!... Błysk słońca na obcym wybrzeżu, trochę czasu, aby wspomnieć, aby westchnąć i — żegnajcie! — Noc — Żegnajcie...!

Wypił.

---

<sup>22</sup>*stewa przednia* — zakończenie dziobu łodzi. [przypis edytorski]

— Ach! Te dawne, dobre czasy — dawne, dobre czasy. Młodość i morze. Porywający czas złudy — i morze! Dobre, silne morze — słone, gorzkie morze, które szepcze do ciebie i ryczy na ciebie, i wydziera ci ostatni dech.

Wypił znowu.

— I jakże rozstrzygnąć, czy tkwiło to w morzu, jak mi się zdaje, w samym morzu, czy też w samej młodości? Któż to wie? Ale wy wszyscy tutaj, którzyście mieli coś z życia: pieniądze, miłość — to, co daje ład — powiedzcie mi: czyż to nie najlepsze nasze czasy, gdyśmy — młodzi — byli na morzu; młodzi i nic niemający, na morzu, które nie daje nic prócz ciężkich razów, tylko czasem sposobność odzucia swej siły — jedynie to, czego wam wszystkim żal?

I skinęliśmy wszyscy głowami: człowiek od finansów, człowiek od rachunków, człowiek od prawa — skinęliśmy potakująco głowami nad gładkim stołem, który jak cicha tafla brunatnej wody odbijał nasze twarze, pocięte, pomarszczone; nasze twarze znaczone przez znój, przez



doznane zawody, przez powodzenie, przez miłość; nasze zmęczone oczy wyglądające wciąż, wyglądające zawsze, wyglądające niespokojnie czegoś od życia, które już nas minęło — oczekujących — przeszło niespostrzeżenie w westchnieniu, w błysku — razem z młodością i siłą, i romantyzmem złudzeń.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-mlodosc>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, *Młodość* i inne opowiadania, tłum. Aniela Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Agnieszkę Kozioł.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Bartłomiej Nawrocki, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Jacek Bąk, Renata Gabrych, Artur Siedlarek, Krystyna Mrugała, Anna Wysocka, szamotł, Michał Niemyski, Szpaczyzna, flamen-co108, Piotr Wacewicz, Paweł Janik, Jadwiga Kubicka, Weronika, Alicja, Patrycja.

Okładka na podstawie: Shadows of people on a bridge projected on snow, Horia Varlan@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0132-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

JOSEPH CONRAD *Młodość*

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,